

Lubie grać na dużej scenie

Rozmowa z Niną Andrycz

Kiedy rzecz ukaże się w druku, dalekim już echem pobrzmiwać będą dwa wydarzenia, do jakich świeżym jeszcze wspomnieniem kilkakrotnie powracaliśmy w naszej rozmowie. Pierwsze – to telewizyjny film Urszuli Lityńskiej pt. „Nina Andrycz”, emitowany w listopadzie; drugie – gościnny występ we fragmentach historycznych ról teatralnych na Festiwalu Im. Kiepury w Krynicy, połączony z aukcją tomików wierszy Niny Andrycz na cele budowy tamtejszego teatru muzycznego („W ciągu zaledwie kwadransa uzyskaliśmy ponad ćwierć miliona złotych!”). Z tym samym repertuarem artystka zaproszona została następnie do Łodzi („Lubie grać na dużej scenie...”), Białegostoku, Katowic, Krakowa, Sztokholmu.

● **Przestrzegano mnie przed spotkaniem z panią; ma poczucie efektu, mówiono, więc spóźni się pół godziny, po czym wędznie niedbale ciągnąc po ziemi drogocenne futro, rzuci rękawiczki na stół, a następnie rozkaże: – A teraz proszę pisać, co powiem!**

– Nigdy się nie spóźniam, a co do wywiadów, to rzeczywiście mam pewną wprawę w ich udzielaniu i poprawianiu. Sama przecież piszę.

● **To może nic tu po mnie?**

– Niech pan zostanie i dokończ kawy. A co pana interesuje?

● **Ani dawne role, ani nowe plany. Chciałbym zobaczyć panią bez maski i pozy gwiazdy – jeśli wolno. Po prostu ciekawi mnie Andryczówna.**

– Nie wiem, czy się to panu powiedzie, nie jest się bezkarnie byłą żoną polityka. I niech mi pan nie dodaje tego „ówna”, bo nie jestem dziewczyną.

● **Kończówka zgodna jest z gramatyką, ale może istotnie nieco staromodna. Na pani oczach dokonał się kres panowania heroin na scenie, miął romantyczny styl gry, nastąpił kryzys teatru, a wraz ze zmianą jego funkcji, spadła pozycja społeczna aktora. Jak pani na to patrzy?**

– To wynika z charakteru naszej epoki, która jest schyłkowa.

● **„Boska dekadencja”, jak wołała Liza Minnelli w „Kabarecie”?**

– Właśnie że nie bardzo boska. Skończyła się wielka literatura, a więc i wielki teatr, ale nie patrz na to czarno. Nastąpił przełom, zakręt... Po wojnie robotnik chodził do teatru, teraz siada przed telewizorem i patrzy, jak leci, w obrazki. Tracimy go dla teatru. Młodzież ogłupia się przy pomocy wideo, które często schlebiam najgorszym gustom. A i w samym teatrze jest dramat z dramaturgią (Mrozek wszystkiego nie załatwi), brak wielkiej klasy reżyserów. Sytuacja wydaje się niepokojąca, ale ona powinna minąć, zmienić się.

● **Skąd ta pewność?**

– Raczej przecucie. Teatr jest instytucją wieczną, jak każda prawdziwa sztuka. Nie można obyć się bez Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego... I chyba nie jest możliwe, aby któraś szkoła dramatyczna nie wykształciła znowu wiarygodnego Gustawa czy Kordiana.

● **Jest pani dla mnie aktorką z samej swej istoty, co wyczuwa się w sposobie bycia także poza sceną. Na poparcie tego – anegdota: wojna, okupacja, ziab, materac z worka. Czekać na przyniesienie zupki z RGO, pani leży na nim jak na wytwornym szezłongu, z lekkim makijażem, czytając Prousta...**

– Rzeczywiście tak było. To opowiada Zofia Niwińska, z którą wiernie i szczerze się przyjaźnię.

● **Ma pani przyjaciół w środowisku zawodowym?**

– W zawodzie nie ma przyjaciół, w zawodzie są sojusze. To strategia podejmowana z myślą o sztuce, która uszlachetnia sojusze. Prywatnie wolę przyjaźnić się z mężczyznami, ale mam też parę przyjaciółek, które pomogły mi w trudnych chwilach.

● **A rywalki?**

– W tym co robię na scenie nie czuję się specjalnie zagrożona.

● **Postaci królowych grywane były przecież także przez inne aktorki.**

– Owszem, ale one mi w niczym nie przeszkodziły.

● **Pokochała pani muzy sceny i poezji. Natomiast w swoim telewizyjnym filmie poskarżyła się pani na kino, określając je jako smugę cienia pośród blasków swego życia aktor-skiego.**

– Tak. Na pamiętkę pozostał mi przedwojenny kontrakt na główną rolę kobiecą w antyhitlerowskim filmie „Uwaga, szpieg”. W sierpniu 1939 r. nakręciłam nawet jedną scenę nad mo-



„Uczta Baltazara”

rzem, ale wybuchła wojna. Później Aleksander Ford proponował mi rolę hrabiny w filmie o Ondraszku („Jak się pani chce nazywać?” – Izabela, odpowiedziałam, a przecież nie grałam jeszcze „Lalki”), lecz filmu nie nakręcił, bo ubiegli go Czesi. Dwukrotnie potem rozmawiał ze mną Andrzej Wajda – raz o udziale w „Przedwiośniu”, drugim razem o roli Eleonory w adaptacji „Adolfa” Constanta dla telewizji, ale obydwie scenariusze mu odrzucono. Od tej pory, niestety, nie zwrócił się z nową propozycją. A szkoda! Z kolei Krzysztof Zanussi namówił mnie do zagrania w „Kontrakcie” – dając do zrozumienia, że później napisze dla mnie większą rolę... Przyjęłam, ale niczego dla mnie jak dotąd nie napisał.

● **Była jeszcze „Warszawska premiera” i „Uczta Baltazara”.**

– No, owszem, pani Kalergis nawet bardzo się publiczności podobała (swoją ocenę pozostawiam sobie), a w „Uczcie...” wycięto mi połowę roli, bo bohaterka przyjeżdżała z Zachodu w nurkach, zbyt ładnie ubrana. W rezultacie na ekranie wychodziłam ze ścian i wchodziłam za ścianę ku rozpaczcy reżysera. Potem grałam jeszcze z Martą

Lipińską w noweli filmowej bez znaczenia.

● **Trzeba tego żałować, bo w rolach filmowych mogła pani być jakby bliższa samej sobie, powiedzmy, niejako prywatnie – bez teatralnego kostiumu, stylowej konwencji lub rekwizytu. Czy swój wąty kontakt z filmem ocenia pani dziś w kategoriach nieodwzajemnionej miłości lub niespełnionego pragnienia?**

– Nie. Doszłam do przekonania, że to po prostu nie było mi sążone. Natomiast ciekawe role w Teatrze Telewizji stały się w pewnym sensie rekompensatą za kino. Poza tym potrzebną odskocznią od tak zwanych królewskich ról.

● **Pytanie z dziedziny dialektyki: czy „królewskie” role na scenie wymykały z pani osobliwych predyspozycji, czy też to one właśnie panią kształtowały?**

– Oczywiście, że do tych romantycznych i historycznych postaci, do ról dramatycznych było mi dane pewne odczuwanie świata, temperament, maksymalistyczność usposobienia. Na tym oparł się twórca przedstawień i dyrektorzy typu Arnolda Szyfmana – mądre-

Fot. Z. Nasierowska





„Warszawska premiera”

go człowieka, który wiedział, że nie nadaje się do grania sierotki Marysi, ale nadaje się do zagrania Solange, Lukrecji Borgii, Lady Makbet i wielu innych. Czułam te role i byłam trafnie obsadzana, stosownie do sylwetki, głosu itp. Reżyser, który by w teatrze z prawdziwego zdarzenia niewłaściwie obsadzał, szybko by się skończył z powodu złego gospodarowania ludźmi. Naturalnie wykonywane *emploi* nie pozostało bez wpływu na mnie, co nie znaczy, że bym w praktyce życiowej chciała mordować królów. Pewna władczość, ton głosu, sposób trzymania głowy towarzyszyły

mi do jakiegoś czasu. Kiedy jednak dojrzałam wewnątrz, zaczęło to ze mnie spadać jak stara suknia. Jeden z moich przyjaciół powiedział mi: – „A cóż by pani dała dwudziesta pierwsza rola królowej?” – Przejęłam się tym. Bardzo więc sobie chwalę zmiany, jakie się we mnie dokonały, jakby zaczęło się nowe życie. Chętnie pracowałabym z nowymi, młodymi reżyserami jeśli nie cierpią na uduźwienia i narcyzm.

● **A pani nie jest w sobie zakochana?**

– Nie! Ten pokój z moimi portretami służy do przyjmowania gości. W są-

siednim, gdzie mieszkam, nie ma ani jednego portretu. Można przecież znać swoją wartość bez narcyzmu i bez celebry.

● **Królewska, władcza, zapewne arbitralna i apodyktyczna. Nietatwa musi być pani we współpracy.**

– Szalenie tatwa i zdyscyplinowana jako uczennica Zelwerowicza. Mam oczywiście własny pogląd, ale z każdym mogę się porozumieć, z żadnym z reżyserów nie miałam konfliktów. Mile wspominam pracę nad komedią „Pies ogrodnika” Lope de Vegi, z młodym Konradem Swinarskim; z Adamem Hanuszkiewiczem, pełnym błyskotliwych pomysłów. A przyszedłam z dużego teatru, z pewnymi nawykami do powolnego tempa pracy, trafiłam zaś w kłębiące się kable, w telewizyjny obłęd. I chyba dałam sobie radę, skoro nieomal cały naród popłakał się nad losem Damy Kameliowej. Nawiasem mówiąc byłam pierwszą aktorką, która stanęła przed kamerami jeszcze w eksperymentalnym studiu naszej TV. Bardzo lubię grać dla telewizji, bo nie ma tam takiego pogwałcenia prawdy, jak w kinie

● **W swoim telewizyjnym filmie powiedziała pani, że wykonuje zawód, który jest tragiczny. Dlaczego? Przecież kto jak kto, ale pani wiedzie piękny żywot artystyczny.**

– Właśnie dlatego! Tragedia polega na tym, że nic nas nie utrwała. Osterwa nie lubił maszynierii i zapis jego głosu na taśmie nie przekazuje nic z Osterwy. Jaracza drażnił terkot kamery, bardzo źle czuł się na planie filmowym i wypadł niedobrze na ekranie. Przybytko-Potocka nigdy nie zagrała w kinie, Wysocka zmusiła się do tego dopiero w starości. Z filmem poradził sobie naprawdę tylko Junosza-Stępowski, więcej właściwie nikt. Co po nas zostaje?

● **Jest jeszcze historia teatru. Widać jednak, że macha pani ręką, powiem więc, że oglądałam ostatnio filmowy dokument-wywiad „Marlene” Maximilliana Schella, w którym spoza kadru słyszało się głos starej kobiety, a na ekranie pojawiała się Marlena Dietrich w fragmentach swych dawnych, trącających dziś myśzką ról. „Byłam aktorką, nakręcałam kilka filmów, to wszystko” – powiedziała o sobie. Młody widz, który nie mógł wiedzieć, jakim była rzeczywiście zjawiskiem,**

miał prawo zapytać po tym filmie: „Przepraszam, ale kto to jest ta dziwna pani?” Pewnie dlatego też jeden z naszych wybitnych ludzi sceny powiedział mi kiedyś, że sławny aktor przemija wraz z pokoleniami swych widzów, z przeżyć i wspomnień publiczności przechodząc do legendy, do mitologii...

– Przypadek z Marieną to woda na mój młyn. Nagrania są niedoskonałe, a świadkowie – partnerzy, reżyserzy – w większości już nie żyją. Niczego nie można powtórzyć, niczego udowodnić. Istnieje np. legenda o mojej Solange, entuzjastyczna opinia Iwaszkiewicza: – „Wzór niedościgny”. Ale gdyby mnie ktoś dziś poprosił, abym odtworzyła ją choć we fragmentach, byłoby to niemożliwe – miałam wtedy 20 lat, inny *timbre* głosu... inną wrażliwość... Jak twierdził Heraklit, nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki.

● **Nie wchodźmy. Jest pani nadal popularna, adorowana... Czy po to, aby być lubianą, jest pani gotowa zrobić świadomy wysiłek?**

– Całe życie pracowałam na to, co stało się moim powodzeniem, ale nigdy nie narzucałam się. Na ostatnich występach gościnnych miałam dowody autentycznej sympatii publiczności, której ani kupić, ani zaaranżować nie można. Niech pan powie, czy to nie wrzeszczące, jeśli ludzie podchodzą na promena-dzie w Krynicy po to, żeby mnie zapytać o zdrowie lub pogłaskać po ramieniu?... Czy aktor chce być lubiany? Tak. Ale aktorka chce – być kochana! Nie zawsze to „się udaje”. Ostatnio np. chciałam zdobyć czyjeś serce, a zdobyłam jedynie podziw; inna sprawa, że to był człowiek wyjątkowo trudny... Prawdopodobnie jestem ostatnią aktorką dramatyczną w Polsce, do której pisują listy zwyczajni ludzie z różnych zakątków kraju (pisują zazwyczaj do idoli piosenkarzów, do ekranowych gwiazd). Po filmie „Nina Andrycz” w TV napisała do mnie kobieta, przysyłając święty obrazek: „Będę się modlić o pani zdrowie razem z księdzem...”; napisał robotnik, pragnący przekazać pieniądze na cel, jaki mu wskaże i jaki osobiście popieram; napisała gospodyni domowa, że tak urzekłam jej wyobraźnię, iż poszła do pracy, a przez 12 lat stała w kuchni przy garach... Napisała wielbicielka, usiłująca poezjować: „O Siostrze Moja!, masz brwi jak dwa łuki triumfalne”. A pierwsza żona Jędrzychowskiego Hania, zrobiła uwagę, że w ani jednej z pokazanych ról nie powtórzył się wyraz moich oczu. (Zelwerowicz by się ucieszył). To chyba prawda: wyraz twarzy mógł się powtórzyć, ale nie oczu, inaczej nigdy nie zagrałabym Dulskiej, ani Baby Dzięwo.

● **Anegdota powiada, że z Grodziska wiozła pani do popowstańlowej stolicy uratowaną z wojny kasety z teatralnymi szminkami.**

– Ze szminkami? Nie... Nieprawda.

● **Tak się pani zarzeka, a w telewizyjnym filmie widać było u pani aż zmysłową przyjemność przy malowaniu ust.**

– To było przeznaczone dla widza... Z wojny uratowałam zeszyty, bruliony moich wierszy, pamiętnik.

● **Wydaje pani obecnie już czwartym tomik!**

– Wydaje „Czytelnik”, ale ma kłopoty z poligrafią – stąd opóźnienie. Ponieważ tylko pewne sprawy zmieszczą się w poezji, napiszę jeszcze prozę.

● **Autobiograficzną?**

– Nie dosłownie, ale w pewnym sensie tak. Myślę o czymś, co pani Maria Janion nazywa ładnie „formą otwartą”. Jak pan widzi, nie nudzę się. Znalazłam sekret na życie: praca. Jestem patologicznie pracowita. To nie frazes.

„Kontrakt”



Rozmawiał
WŁADYSŁAW
CYBULSKI